Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.

Nr. 26 (400). WARSZAWA, 19 listopada 1927 r. ROK XX



KONTO ZWIĄZKU P. K. O. 8082. ADRES: NOWY-ŚWIAT 35. TELEFON 7-98

PISMO TYGODNIOWE. WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

Myśliwski konkurs fotograficzny.

Redakcja „Łowca Polskiego" w chwili przekształcenia go na tygodnik, dążąc do udoskonalenia strony ilustracyjnej pisma, ogłasza niniejszem myśliwski konkurs fotograficzny i wzywa ogół myśliwych do nadesłania ciekawych i pięknych zdjęć łowieckich, które nadawałyby się do reprodukcji w naszem piśmie.

Nazwisko należy pomieścić w zamkniętej kopercie zaopatrzonej godłem tem samem, co i nadesłane fotografie.

Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z polowań, zwierzyna żywa i ubita, piękne psy myśliwskie oraz trofea łowieckie.

Jako nagrodę I wyznaczamy zł. 75, drugą — 50, trzecią — 25 zł. czwartą — książkę treści łowieckiej lub prenumeratę bezpłatną przez pół roku.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dniem 1 grudnia. Nagrodzone fotografie zostaną zamieszczone w „Łowcu Polskim".

„Jury" stanowi Komitet Redakcyjny.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.

PRENUMERATA: zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15, za rok zł. 28. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu — 50 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona zł. 120; pół — 70; $^1/_4$ — 40; $^1/_8$ — 24; $^1/_{16}$ — 12; $^1/_{32}$ — 6. Przed tekstem o 50 proc. drożej (Pierwsza strona liczy się bez kliszy tytułowej).

Koty domowe.

Puszysty „Maciuś" ogromnie jest miły: mruczy rozkosznie, ociera się pieszczotliwie, ogonek w górę podnosi, gdy się go po grzbiecie głaszcze, i nikomu nie przeszkadza, śpi bowiem cały dzień na kanapie, a wieczorem wychodzi sobie na spacer. Co na tych spacerach „Maciuś" porabia, to już kwestja obojętna dla domowników, dość, że Maciuś jest porządny kot, bo nawet myszkę kiedyś złapał.

Taki sobie miły kotek przebywa niemal w każdej rodzinie. Jeśli owa rodzina z kotkiem mieszka w dużem mieście, wtedy wszystko w porządku: Maciuś rozwala się przez cały dzień po łóżkach i kanapach, a w nocy przy księżycu, urządza na dachach kamienicznych tęskne serenady i jest bardzo w stylu..

Zupełnie inaczej sprawa miłych kotków przedstawia się na wsi.

Ile mamy w Polsce zagród włościańskich i dworów, tyle w nich już nie pojedyńczych kotów, lecz nieraz całych rodzin kocich. I owe wszystkie kotki, gdy tylko zmierzch zapada, wędrują do parku, lasu lub w pole, na zbójeckie wyprawy. Ludzie ,strudzeni pracą, śpią i nie słyszą rozpaczliwego krzyku mordowanego na gnieździe ptaka, nie odczuwają strasznego przerażenia i bólu zajączka, szarpanego pazurami kota, i nie orjentują się, ile morderstw popełnia krwiożerczy drapieżnik na cichych, nocnych wycieczkach.

Kuropatwa, która miała nieszczęście usłać gniazdo w pobliżu wioski, zostaje zwykle pożarta podczas wysiadywania jajek, wyłowione i pożarte bywa stadko piskląt, jeśli je kot napotka, ginie podczas snu drobne ptactwo polne i leśne. Kot nie daruje życia słabszemu od siebie stworzeniu a rozbałamucony w polu, urządza dalekie, niekiedy milowe wycieczki.

W nocy, gdy koty włóczą się po polach, niepodobna na nie polować, w dzień zaś można kota spotkać tylko wtedy, gdy mu się nocne łowy nie udały. Kot na łowach jest przezorny, podstępny i tchórzliwy. Zobaczywszy człowieka, pomyka zdala, lub tak się przyczai w bróździe, trawach, naci, czy też na gałęzi, że trudno go dostrzedz lub wypłoszyć. Kot domowy daleko więcej wśród drobnej zwierzyny szkody wyrządza, niż pies, wałęsający się po polach. Pies, biegnąc, jednocześnie wystrasza i daje możność ratunku napadniętemu zwierzęciu, gdy tymczasem kot, napadając skrycie, wyklucza ucieczkę.

Kot staje się plagą z powodu zbytniego rozmnożenia się w chatach wiejskich i dworach. Chcąc pladze tej zapobiedz, musimy podjąć walkę przedewszystkiem z zakorzenionym przesądem, że kot w gospodarstwie jest niezbędnym i niezastąpionym tępicielem myszy.

Oczywiście, kot do pewnego stopnia redukuje plagę myszy w śpiżarni lub śpichlerzu, lecz może być z dobrym skutkiem zastąpiony przez specjalne pułapki. Jeśli zaś myszy jest tak dużo, że pułapki nie pomogą, tam kot powinien być zamykany na noc w budynkach, gdzie myszy czynią szkodę. Znam gospodarstwa, w których myszy prawie niema, a przychówek kotów stale się zwiększa, gdyż poczciwi ludziska z litości zachowują liczne pomioty miłej koteczki.

Najgorszymi rabusiami są koty chłopskie, żyjące wyłącznie z polowania. Widząc niegdyś chude koty u zamożnych gospodarzy, pytałem, czemu je tak źle karmią. Pytanie moje wywołało zgorszenie.

— Kota karmić? Abo to krowa, cy kura? Przecie on ani mlika nie da, ani jojka nie zniesie. Niech ta se mysy i ptoski łowi!

Takie właśnie „zdrowe" chłopskie rozumowanie sprawia, że na gruntach w pobliżu wiosek najmniej bywa kuropatw i zajęcy.

Akcja myśliwych przeciwko wałęsającym się psom odniosła dobry skutek: policja nakłada kary i psy stoją na uwięzi, — z kotami trudniej, lecz jest jeden sposób, który plagę zredukować może radykalnie, mianowicie: podatek.

Związek Łowiecki, mający w swym programie ochronę zwierzyny, ma całkowite prawo wystąpienia do władz skarbowych z odnośnym projektem. A może znajdą się projekty lepsze?

SZ.

LECZNICE SEJMIKOWE.

Sprawę, obchodzącą także myśliwych, ze względu na możność leczenia psów w każdym powiecie, porusza w obszernym artykule w „Gazecie Rolniczej" dr. Władysław Walkiewicz, sejmikowy lekarz weterynarji w Siedlcach. Zaznacza on między innemi:

Sejmikowa lecznica dla zwierząt, o ile jest postawiona i prowadzona racjonalnie, przynosi kolosalne korzyści dla ludności danego powiatu. Zasadniczem zadaniem lecznicy jest dać solidną pomoc choremu zwierzęciu i dać ją o każdej porze dnia i nocy. W Siedlcach projekt wybudowania lecznicy napotkał dość silną opozycję ze strony ludności, gdyż wszyscy przypuszczali, że ludność nie będzie z niej miała żadnej realnej korzyści; tymczasem w kilkanaście miesięcy po wybudowaniu lecznicy, pogląd ten zasadniczo zmienił się i obecnie ludność wprost nie wyobraża sobie, jak mógłby powiat egzystować bez lecznicy. Tu każdy człowiek, któremu zachoruje zwierzę, prowadzi je do lecznicy, i jest pewny, że za bardzo niską opłatą otrzyma poradę i pomoc łącznie z medykamentami; tymczasem, gdy lecznicy niema, prowadzi chore zwierzę do lekarza weterynarji i nie jest pewny, czy go zastanie, i przeważnie tak bywa, że nie zastaje go, gdyż tamten wyjechał na powiat i przy ostrym przebiegu choroby, kończy się tem, że zwierzę pada, nie doczekawszy się pomocy lekarskiej. Następnie, czy może być mowa o racjonalnem leczeniu zwierzęcia, wymagającego dłuższej kuracji i ciągłej obserwacji? Oczywiście, nie, ponieważ zawsze praktykuje się w życiu, że lekarz wykona potrzebny zabieg i właściciel chorego zwierzęcia więcej go do lekarza nie przyprowadza i pacjent na tem cierpi. To zjawisko może być usunięte w tym tylko przypadku, gdy jest lecznica.

Lecznica siedlecka zdobywa sobie zaufanie ludności stopniowo. O leczonych w niej psach mamy takie dane cyfrowe: Rok 1922: psów 2. Rok 1923: psów 3. Rok 1924: psów 20.

WIADOMOŚCI HADLOWE.

W Toruniu zanotowano następujące ceny: zające za 1 kg. 1,60 — 1,80; kuropatwy — 2,60 do 3,00 za sztukę; bażanty 8,00 — 10,00 zł.

W Berlinie zanotowano: kozły I g. za ½ kg.—1,30; II g. — 0,90 — 1,00; daniele małe — 0,70 — 0,90;

grube — 0,55 — 0,60. Jelenie, byki, grube — 0,56 — 0,60; małe — 0,60 — 0,65; II g. 0,40 — 0,45; dziki grube — 0,45 — 0,50; II g. — 0,40; średnie — 0,60—0,65; warchlaki — 0,65 — 0,70. Zające duże I g. za sztukę — 7,00 — 7,25; średnie — 5,00 — 5,50; małe — 3,00 — 4,50. Króliki dzikie, duże — 1,90 — 2,10; dzikie kaczki I g. — 2,00 — 2,25. Kuropatwy młode, duże I g. — 2,00 — 2,10; II g. — 1,20 — 1,50; stare I g. — 1,50 — 1,60; II g. — 1,10 — 1,20. Bażanty, koguty, młode I g. — 3,50 — 3,75; II g. — 1,80—2,00; stare I g. — 2,75 — 3,00; II g. — 2,00 — 2,60; kury— 2,00 — 2,25; II g. — 1,00 — 1,50.

W Brnie czeskiem zanotowano: zające duże I g. — 28 — 35 koron, średnie — 20 — 25; bażanty — 20 — 23; dzikie kaczki — 15 — 20; dzikie króliki — 10 — 12; słonki — 15 — 19 za sztukę; sarny — 24—28, w skórze — 15; daniele — 10 — 15; jelenie — 8 — 10; dziki 10—16, muflony — 11 — 14 za 1 kg.; kuropatwy — 24 — 30 za parę.

We Włoszech zanotowano bażanty w Reggio — 8,00 — 8,50 lirów, w Parmie — 8,50 — 9,50; w Modenie — 8,00 —8,50.

Futra i skóry. W Berlinie zanotowano: kozy — 6 R. M., skórki zajęcze zimowe — 1,50; jesienne — 0,75; letnie — 0,40; dzikie króliki za sztukę — 30 Pf.; jelenie i sarny staniały. Jelenie zimowe, świeże za funt około 1,40, suche — około 0,80; sarny zimowe — około 1,50 za sztukę. Wiewiórki letnie do 0,10; przejściowe do 0,60; łasice bronzowe do 2, białe do 7; wydry I g. do 60, borsuki — 4— 6. Kuny kamionki I g. do 60; kuny leśne I g. — 75 — 85. Daniele świeże do 0,60 za funt.

Gospodarka łowiecka a futra.

O roli gospodarki łowieckiej w stosunku do przemysłu skórek futrzanych pisze w obszerniejszym artykule p. Sz. w „Kurjerze Warszawskim" między innemi:

Statystyka wykazuje, iż w 1926 r. wywieziono od nas zagranicę skór zwierząt puszystych za 1,437,000 zł., przywieziono aż za 7,519,000 złotych! Powyższe liczby charakteryzują ogromną przewagę importu nad eksportem i zmuszają nas do baczniejszego wejrzenia w dział przemysłu futrzanego.

Przemysł ten polega na: racjonalnej gospodarce łowieckiej, hodowli zwierząt puszystych oraz na umiejętnem wyprawianiu i farbowaniu ich skór.

Nasza gospodarka łowiecka, dzięki umiejętnemu kierownictwu, teoretycznie wchodzi na właściwą drogę, praktycznie poprawi się, gdy surowo karane będzie wszelkiego rodzaju kłusownictwo i wandalistyczne polowanie na ginące gatunki.

Coraz częściej mówimy o hodowli rzadkich cennych zwierząt, jak bobry i srebrne lisy. Hodowla tych zwierząt wymaga terenów i kapitałów. O pierwsze u nas łatwo, o drugie — trudniej. Niesłychanie zyskowne fermy srebrnych lisów w Kanadzie i Anglji, możliwe są u nas do wprowadzenia, ale urządzenie fermy i sprowadzenie z Kanady przynajmniej 10 par rozpłodowych lisów wyniesie około 40.000 dolarów (para żywych lisów 2,000 dolarów). W Polsce nie trudno znaleźć ludzi z podobnym kapitałem, lecz niestety, bardzo trudno wzbudzić w naszych kapitalistach zaufanie do nowego, nieznanego im przemysłu.

Mniej kosztowną hodowlę kun leśnych i domowych już założono.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

Dnia 31 października w maj. Bełdów pod Łodzią u p. Władysława Wężyka odbyło się polowanie z naganką w 10 strzelb. W 9-iu miotach leśnych, z których w 6-iu strzelano wyłącznie do grubszej zwierzyny, ubito: 1 dzika (odyńca), 2 rogacze, 1 lisa, 8 zajęcy, 1 słonkę, 1 kuropatwę i 1 jastrzębia. Królem polowania był inż. St. Palecki z Warszawy, który zabił odyńca, 2 zające, słonkę i kuropatwę. Dziki, których w Bełdowie w roku bieżącym jest szczególnie dużo, były w 4-ch miotach, dwukrotnie jednak tylko wyszły na strzał. Sarn jest bardzo dużo. Zajęcy mniej niż w zimie, kiedy schodzą się gremjalnie do lasów bełdowskich z okolicznych pól.

Maj. Bełdów jest wzorowym terenem łowieckim. Naturalne dogodne warunki oraz dbałość gospodarza sprawiają, że jest tu stale obfitość różnorodnej zwierzyny: latem na stawach rybnych lęgną się setki kaczek, w jesieni na polach myśliwy ma zawsze kilkadziesiąt stadek kuropatw, w zimie w polowaniach leśnych pada kilkadziesiąt zajęcy, zaś dziki, sarny i lisy stale urozmaicają polowania bełdowskie. — g.

ZAWODY STRZELECKIE.

Wielkie zawody warszawskie.

Na trzech stołecznych strzelnicach odbyły się trzydniowe wielkie zawody strzeleckie w d. 5, 6 i 7 b. m. W konkursach wzięło udział około setki zawodników, strzelających do tarcz od godz. 8 rano do zmroku. Wyniki były następujące: Strzelanie o nagrodę p. wicepremjera Bartla, odległość 100 m., rekord polski 382 pkt.: 1) ppułk. Wecki (Legja) 381 pkt. Strzelanie o nagrodę ppułk. Ulrycha 3 serje po 10 strzałów z trzech pozycyj: 1) p. Wąsowicz (Legja) 280 pkt., 2) p. Ossowski (Strzel. Klub Sport.) 263 pkt. Strzelanie z broni krótkiej o nagrodę im. ś. p. mjr. Nusbauma, odległość 50 m., postawa stojąca bez podparcia, 4 serje po 10 strzałów: 1) p. Rudowski (Katowice) 242 pkt., 2) mjr. Stawarz 231 pkt.

Dalsze wyniki nie są znane. Jako powód prasa codzienna podaje to, że one „zaginęły" i dotychczas nie są znane! Ktoś wziął, gdzieś podział, oddał komuś, — słowem: tarcze strzeleckie, protokóły i dane zaginęły. Na marne więc poszła praca i wysiłek zawodników, którzy tyle starań włożyli, w celu uzyskania jaknajlepszego wyniku. Pozatem sędziowie na zawody spóźniali się po 3—4 godziny, brak było elementarnych urządzeń pomocniczych (stopnery i t. d.)".

Zawody Straży Pożarnych.

W czasie I-go Zjazdu Straży Pożarnych Województwa Warszawskiego odbyły się zawody strzeleckie na strzelnicy na Bielanach.

Do zawodów stanęło ogółem 15 zawodników. Warunki strzelania były następujące: odległość 150 m., tarcza 12-to pierścieniowa po 2 strzały z postawy stojącej, klęczącej i leżącej. Pierwsze miejsce zajął p. Jan Krajewski, osiągając w sumie 53 pkt., drugie p. Franciszek Jankowski 50 pkt., trzecie p. Kazimierz Kossewski 49 pkt.

Wiadomości bieżące

Niedźwiedzie w Tatrach. W Zakopanem dn. 10 b. m. w godzinach rannych powracający z wycieczki turysta, p. Banasik, spotkał niedźwiedzia dużych rozmiarów na drodze obok Łysej Polany wiodącej do Morskiego Oka. Niedźwiedź rzucił się na turystę, wobec czego ten zmuszony był schronić się na drzewo, gdzie przesiedział prawie dwie godziny, gdyż niedźwiedź położył się pod drzewem i został spłoszony dopiero przez nadjeżdżający samochód.

Otrzymaliśmy pismo następujące:

W Nr. 20 z dnia 8 października 1927 r. wyczytałem notatkę w „Łowcu Polskim" o spotkaniu dwuch turystów z niedźwiedziem w Tatrach. Jednym z tych turystów byłem ja i uważałem za swój obowiązek w celu przestrzeżenia innych turystów, zgłosić to w Tow. Tatrzańskiem w Zakopanem.

Uważam za swój obowiązek nazwiska sprostować. Nazwiska te brzmią: inż. Piotr Budasz Poznań, Wierzbicice i dr. Władysław Terenkoczy z Katowic.

Kłusownik strzelił w pierś policjantowi. Patrolujący posterunkowy Szulc i posterunkowy Jasienica na polach wsi Ruskołęki - Stare gm. Jasienica (Ostrowia-Mazow.) zauważyli dwóch kłusowników. Ci widząc policjantów, na wezwanie ich nie zatrzymali się, lecz poczęli uciekać. Posterunkowy Szulc dosiadłszy konia, którego wypożyczył od przejeżdżającego wieśniaka, podążył za uciekającymi. Kiedy ścigani znaleźli się w odległości 100 metrów od policjanta, wówczas jeden z nich wystrzelił dwukrotnie z dubeltówki, raniąc posterunkowego Szulca w twarz oraz piersi, poczem zbiegli. Dochodzenie ustaliło, że kłusownikami oraz sprawcami zamachu na życie policjanta byli: Aleksanler Kalupa i Michał Doncer, obydwaj zamieszkali we wsi wyżej wspomnianej. Doncer został ujęty, Kalupa zaś zbiegł, wobec czego zarządzono za nim pościg. Rannego policjanta przewieziono do szpitala powiatowego w Ostrowiu.

Do Instytutu w Puławach. Dla hodowców ptactwa łownego wielce się przyda krótka wskazówka, podana w „Rolniku" w formie zapytania i odpowiedzi. Pierwsze brzmi: Jak leczyć kurę, która się puszy, ma zaburzenia żołądkowe, traci apetyt i władze w nogach. Jedna padła nazajutrz po zachorowaniu, druga żyje sztucznie karmiona. Odpowiedź: Bez zbadania przez lekarza weterynarji niepodobna określić choroby. Jeśli ona przybiera charakter epidemji, to należy przesłać sztukę chorą, pocztą w klatce, albo zabitą w pudełku do Instytutu Naukowego w Puławach, gdzie w wydz. bakterjologicznym zbadają chorobę i jeśli to się okaże potrzebnem, przyślą szczepionkę. Jako środki zapobiegawcze należy dawać, jako napój łyżeczkę soli glauberskiej na litr wody.

Nowa zaraza dziczyzny. W ostatnich miesiącach b. r. ukazała się na terenach województwa pomorskiego wśród zwierząt domowych i dziczyzny jedna z chorób zakaźnych, dotychczas na Pomorzu nierozpowszechniona „Zaraza bydła i dziczyzny", zwana także zarazą Bollingera (Septicaemia haemorrhagica bovum), wywołana swoistymi lasecznikami. Choroba ta ukazała sie już w r. 1926 w powiatach rypińskim, włocławskim, a obecnie i w kilku powiatach woj. pomorskiego, robiąc spustoszenia. W myśl obowiązujących przepisów chorobę tę należy natychmiast zgłaszać władzom policyjnym najpóźniej do 24 godzin, aby tym sposobem ułatwić państwowym władzom weterynaryjnym tłumienie tej groźnej zarazy. Również zwraca się uwagę właścicielom lasów i urzędnikom leśnym, by wszelkie wypadki padnięcia na tę chorobę saren i jeleni, zgłaszali natychmiast władzom policyjnym. Przebieg tej choroby zakaźnej trwa 4 — 8 dni, a bardzo często występuje już po 8 — 12 godzinach. Objawy tej choroby są różnorodne. Zaraza ta bywa roznoszona przez dziczyznę, a także psy, rozwlekające padlinę.

Świerzb u psów pojawia się przedewszystkiem na nosie, potem choroba rozchodzi się po całym łbie i dalej. Zjawiają się plamki, pęcherzyki, potem tworzą się strupki, włosy wypadają i zwierzęta uczuwają wielkie swędzenie. Należy włosy wystrzyc, skórę wymyć mydłem dziegciowem i codzień smarować mieszaniną gliceryny z benzyną w równych ilościach, dodawszy do tego 1 proc. kreoliny. Na szyję założyć koniecznie krążki z grubej tektury, ażeby uniemożliwiać drapanie i zlizywanie. Należy pamiętać, że świerzb zwierzęcy przenosi się też i na ludzi.

Towarzystwo Ornitologiczne w Poznaniu. Tow. „Ornitolog" odziedziczyło z dawnych czasów przeszło 300 klatek wystawowych. W roku 1923 odbywała się w Poznaniu druga wszechpolska wystawa, która została dość dobrze obesłaną. Po wystawie jednak Zarząd Tow. przez kilka miesięcy nie odbywał posiedzeń. W roku 1926 powstaje „Ornitolog" ponownie do życia. Do zarządu wybrano jako prezesa p. Kreidewejsa, zastępcę p. Samolińskiego, sekretarza p. Książkiewicza. W dniu 3 stycznia 1927 r. odbyła się wystawa lokalna również licznie zwiedzana. Dawny „Ornitolog", który przed wojną liczył około 150 członków, ma dziś około 15 członków, płacących składki.

Z wystawy w Sanoku. W sprawozdaniu z wystawy w Sanoku, zamieszczonem w „Polskim Drobiu", znajdujemy kilka szczegółów, dotyczących również działu myśliwskiego.

Wystawa była ogólno - rolnicza i obejmowała również dział łowiectwa, który okazał się bardzo pięknym; ciekawe były szczególnie trofea myśliwskie p. Stanisława hr. Potockiego z Rymanowa i p. Jana hr. Potockiego z Rymanowa - Zdroju.

Przyznano między innemi następujące nagrody:

Dział IV. Ptactwo ozdobne: Medal bronzowy Okr. T-wa Gosp. w Sanoku — p. Głuszakowej z Pakoszówki za kolekcję pawi. List pochwalny T-wa Gosp. Wsch. Małop. we Lwowie — p. Kolbowi Augustowi za bażanty złociste; p. Irenie Witkiewiczowej z Sanoczka za papużki-karły. W dziale psów medal złoty Okr. T-wa Gosp. w Sanoku przyznano p. Anieli Ostaszewskiej z Klimówki za francuską buldoczkę „Babette-sans-pareil". Był to jedyny okaz rasowy wśród psów na wystawie.

Sprawozdanie kończy się słowami:

Psy myśliwskie, reprezentowane na Wystawie, pomijając ich walory łowieckie, które mi nie są znane, były to kundle czystej wody, tak zwane mieszaniny spacerowe, albo typy zupełnie nieszlachetne.

Wypadki z bronią.

Jedyny syn obywatela ziemskego, p. Piotra Bagniewskego, właściciela majątków w Zatorach, Okęciu i Radziwiłłowie, 18-letni Piotr Józef, uczeń 8-ej kl. gmnazjum im. św. Stanisława Kostki, korzystając z kilku dni wolnych od nauki w okresie Zaduszek, udał się do majątku rodziców w Zatorach (pod Serockiem) i wybrał się na polowanie, na którem nastąpiło zacięcie się naboju w lufie. Po powrocie do domu p. Bagniewski udał się do warsztatu, gdzie zamierzał wyjąć nabój. Zanim jednak do tego przystąpił, nieopatrznie uderzył kilka razy kolbą dubeltówki o kamienną posadzkę. Nastąpił wystrzał i nabój ugodził p. Bagniewskiego w brzuch. Mimo dokonanej operacji i usilnych zabiegów lekarskich, nie zdołano jednak uratować ofiary własnej nieostrożności. Po kilkudniowych męczarniach ś. p. Bagniewski życie zakończył.

— P. Piotr Bućko podczas oglądania rewolweru w lokalu ajencji pocztowej w Bersztach, przez nieostrożność wystrzelił i zranił ciężko kierownika tej ajencji p. Hipolita Ryżyckiego, który podczas transportowania go do szpitala do Grodna, zmarł.

— W Kaczycach pod Cieszynem na polowaniu u p. Węglarza, na którem ubito 9 zajęcy i 28 bażantów - kogutów, postrzelono naganiacza śrutem w okolicy oka.

PODZIĘKOWANIE.

Składam niniejszem serdeczne podziękowanie Panu Wacławowi Stasiulewiczowi, kasjerowi dóbr Trzebień Magnuszew, za troskliwe zaopiekowanie się przybłąkaną moją wyżlica „Azą", oraz danie ogłoszenia w pismach, dzięki któremu udało mi się ją odzyskać.

Dr. J. WOŁYŃSKI.

Warszawa, dn. 5 listopada 1927 r.



PRZESZKODA (LA BARRIÈRE). Ze starego sztychu francuskiego.

O polowaniu na łosie.

DOKOŃCZENIE. (Zob. Nr. 25).

Pracę niniejszą pamięci Przyjaciela mego ś. p. Jana hr. Morsina, poświęcam.

Lepiej jest zawczasu upatrzyć pozycję, z której się będzie wabić, i stać tak, by wiatr był w jej kierunku, wtedy widzi się łosia, który zwykle stara się zajść pod wiatr — daleko, lecz, gdy to jest niemożliwe, lub też, gdy niema w pobliżu linji kwartalnej lub kanału, lepiej jest posuwać się w stronę wabiącego się łosia, aż się znajdzie mniejwięcej miejsce odpowiednie, niż stać w beznadziejnym gąszczu.

Jak już to poprzednio wspomniałem, prawie każdy łoś, a stary łopatacz napewno, będzie się starał podejść na wab pod wiatr. Tutaj się rozgrywa walka ostateczna i wszystko zależy od wabiarza i myśliwego, by się nie dać obejść.

Zwykle wabiarz może tak lawirować, by wciągnąć łosia między siebie i myśliwego, lecz myśliwy powinien pilnie śledzić całą akcję, i gdy zauważy, że łoś równa się z nim i wiatrem, cofać się pośpiesznie, jednocześnie bacząc, by zwierz nie wszedł na jego trop.

Jeżeli łoś minął myśliwego, nie zauważywszy takowego, a wabiarz się zbytnio oddalił, należy szybko stanąć na tropie, gdyż są wszelkie szanse, że łoś, spłoszony ewentualnie przez wabiarza, będzie wracał swoim tropem. Na łosia, który już był spłoszony i jest nad wyraz ostrożny, można zgóry w ten sposób uplanować polowanie. Wtedy wabiarz śpiesznie odchodzi jaknajdalej od myśliwego, który przepuszcza koło siebie łosia za wiatrem i prędko staje na tropie.

W krótkich zarysach skreśliłem główne wytyczne polowania na łosie. Długoby na ten temat rozpisać się można, lecz chyba każdy zrozumie, jak pełne uroku i wrażeń są te łowy na króla puszczy poleskiej.

* * *

Nie miałem powodzenia podczas mojej wyprawy tej jesieni na łosie. Wyraźnie nie „szancowało", jak mówią Poleszuki. Nie danem mi było mieć na rozkładzie tak pięknych byków, jakimi się poszczycić mogą znajomi moi, którzy polowali w Ordynacji Dawidgródeckiej, a którym, serdecznie wspaniałych trofeów winszuję.

Lecz śmiało zapewnić ich mogę, że bodaj większych rozkoszy myśliwskich doznałem podczas tych trzech tygodni, jakie w puszczy Wiadotupickiej, prawie nietkniętej siekierą, spędziłem. Sześć razy szale się ważyły, sześć razy blizki byłem strzału, jednakże sześć razy puszcza zwyciężyła, sześć razy władcę swego bronić zdołała. Siódmy raz wśród nocy, zalanej księżyca poświatą, słyszałem z oddali ryk gromki — ryk „na trwogę" łosia, który natrafił w ostępie na moje ślady. Wabiliśmy tego wieczora bez rezultatu, i długo wsłuchiwaliśmy się w cudną ciszę jesiennej, księżycowej nocy. Mgły pomału pajęczą przędzą spowijały mszary, zawisając w świetle srebrzystego półmroku, który rozsiewa miesiąc bladolicy, w pogodne, jesienne wieczory. W wieczory owe trudno jest określić chwilę, gdy światło dzienne ustąpi nocy; zachód długo, długo, płonie czerwienią, mgły się snują nad ziemią leniwie, najsamprzód zwisając niby cienkie pasma wiotkiej tkaniny, potem ogromnieją w płachty ciężkie,

a w końcu, gdy całunem gęstym knieję spowiją, a zimno wilgotne do skóry dobierać się zaczyna, widzi się, że noc już na dobre panowanie swe roztacza.

Ruszamy ku odległej „hradce", na której będziemy nocowali. Na zachodzie jaśniejsze pasemko na niebie, nad nami księżyc coraz to srebrzyściej jaśnieje, gasząc gwiazdy sąsiadki. Prujemy mgły, dopóki po mchach brnąć nam wypada, w oczeretach i „czarnym" (olcha) lesie ciemność nas spowija, w świerkowych zawałach kinąc na czem świat stoi,co krok człek się omal nie przewraca. Jakiś pień spróchniały, trącony przez wabiarza, na łeb mi się wali, a w gęstych haszczach światło migotliwe, tak myli, że po godzinnym marszu, który wiecznością się wydaje, zaczyna się tracić nadzieję wybrnięcia z tej matni; fosforyczne plamy przed oczyma skaczą, w głowie się kręci, a pot spływa z czoła.

Nagle w tej ciszy, przerywanej ciężkimi naszymi oddechami, wśród jednostajnego dzwonienia w uszach, odróżnić wyraźnie można jakby chrap daleki. Słuchamy.

Raz po raz ryk się rozlega, potężny, chrapliwy.

— Rewie, panoczku, na śled nasz wzoszoł...

Długo staliśmy, wsłuchani w ten alarm królewskiego zwierza, który donośnie w nocną ciszę ostrzeżenie o niebezpieczeństwie rzucał.

Łoś pomału się od nas oddalał i coraz ciszej dolatywał do nas jego głos potężny. Odchodził i ryczał bez przerwy, razy dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści. Jeszcze raz, hen! zdaleka, cicho już dla ucha naszego „rewnuł" i znowu cisza w uszach dzwonić zaczęła.

Jakiem o tem już wspominał, sześć razy się z łosiem spotykałem, lecz do strzału nie doszedłem. Z tego trzy razy wabiarz nie sprostał zadaniu, raz spotkaliśmy łosia, idąc bez wabia, lecz strzelić nie zdążyłem, a dwa razy — zwierz nas zwietrzył. Jedno z tych spotkań chciałbym tu opisać, by towarzysze myśliwi, którzy na łosie się kiedyś wybiorą, zdać sobie mogli sprawę, jak ważną rolę wiatr przy tych łowach odgrywa.

Ranka owego mieliśmy wabić z jednego końca wąskiej „hradki", ciągnącej się paręset kroków, wśród gęstego brzeźniaka, który zarastał rozległy krzak, dokoła położony. Na przeciwnym końcu „hradki" znajdowały się zeszłoroczne zakopy. Przyszliśmy na miejsce zawczasu, więc otuliwszy się w swą lodenowską pelerynę, drzemałem, skulony pod pniem niebotycznej sosny. Chłodny, jesienny poranek, mętnem swem światłem, powoli puszczę rozjaśniał, a cisza głęboka niebawem drzemkę w sen twardy zamieniła, z którego mnie raptowne szarpanie za ramię, zbudziło.

„Łoś wabitsia", słyszę nad uchem cichy szept wabiarza. Zataczając się ze snu, szybko staję na nogach i w słuch cały się zmieniam. Mgliste światło już doszczętnie się z mrokiem nocy uporało, i mokry od rosy mszar, sennie i cicho przed oczyma się roztacza, a z głębi oczeretów i brzeźniaka, na prawo od „hradki", wilgotne świtu powietrze przynosi do uszu wyraźnie, ciche stękania. Król poleskich mokradeł rzuca swym rywalom wyzwanie!

Szybko się rozstawiamy, podchodzę kilkanaście kroków naprzód, wybieram lukę z prawej strony „hradki", wabiarz się cofa na lewo. „Hradka" ma dwadzieścia kroków szerokości, wiatr ukośnie wpoprzek od strony łosia, czyli prawie wzdłuż z prawej do lewej, o ile w stronę łosia patrzymy. Wszystko zapowiada się pomyślnie. Tymczasem za

Jak polowano na początku zeszłego wieku

Programma wyboru na polowanie, jesień 1808 roku na Ukrainie.

Jeden z naszych łaskawych czytelników, p. Stanisław Breza, z Wilkołaza, znalazł wśród swoich papierów, cudem ocalałych z rąk bolszewików i petlurowców, zeszyt rękopiśmienny prapradziada swego matczynego, Imci Pana Pułkownika Wojnarowskiego, z opisem polowań prozą lub wierszem z początków XIX wieku. Narazie p. Breza nadesłał nam opis wyboru na polowanie jesienią 1808 roku, skopjowawszy rękopis bez zmian żadnych. I my go też w tej samej formie podajemy czytelnikom naszym, nie wątpiąc, że opis sposobów polowania z przed 120 lat zainteresować może każdego prawdziwego myśliwego, zwłaszcza, że z przytoczonych poniżej wierszy bije umiłowanie naszego drogiego łowiectwa, dla którego autor pamiętnika poświęca wszystkie inne rozkosze życia. Ze wspomnień tych widocznem jest, że w owych zapadłych czasach średnio zamożny ziemianin, miłujący łowiectwo, wyruszał w objazd z olbrzymim względnie aparatem i przez ciąg kilku miesięcy odwiedzał kolejno gościnne dwory znajomych, gdzie przez czas pewien łowy uprawiał.

P. Brezie dziękujemy w imieniu naszych czytelników za nadesłany rękopis i prosimy o ciąg dalszy. **(Redakcja).**

1) Dojeżdżacz Święcicki na koniu z Harasymkiem biedą prowadzić mają 8 sfor gończych, pokurczów 2, tryksów (sic) 2, za niemi Kossowski 6 smyczy chartów, na koniu z Michałem szczwaczem konno. Za temi wóz trzykonny, na nim Dorosz i Hryćko strzelcy, na wozie kocioł wanienka, 2 trąby rozjazd na kuropatwy, drugi na przepiórki, 2 psy legawe, 3 kordelasy, 4 pudy skwarków z łoju, osypka. Dwa wozy, czyli wagony parowołowe i jeden takiż z parą mułami, wszystkie nakryte, na których 35 sztuk 50 sążniowych sieci, na każdym wozie siekiera i po 12 sztuk kijów suchych, dębowych, zaostrzonych do sieci w miejscu spis. Wóz 3 konny z Sztangierem i Teodorem kucharzem, na nim naczynia kuchenne i narzędzia, jako to 6 rądlów jeden w drugi, kociołek miedziany i takiż baniak z nakrywą, patelnia, rożen, szpikulec, sitko blaszane, 2 noże kucharskie, tasak, łyżka na wodę, 2 kuchenek podróżnych angielskich na rozpalonych duszach na 4 potrawy. Skrzynia z kredensem, w niej 12 par sztućców z łyżkami, 4 obrusy, 36 serwet, 2 rądelki kamienne, blat, 2 salatarki, 24 talerzy głębokich, 36 płytkich, 12 szynek, 24 półgęski, połeć słoniny, kiełbasy wędzonej $1\frac{1}{2}$ puda, salcesony, kiszki, które z domu wzięte, prócz tych w drodze kupując, wieprze przysposabiać. Mąki pytlowej pszennej, 6 pud. krup perłowych i drobnych po pudzie, sól, korzenie, musztarda, siekiera jedna.

Koni wierzchowych 8, podjeżdżaków 4, ludzi do prowadzenia 4-ch, podwoda z siodłami, tręzlami, musztukami, uździennicami, kocami, obrokiem 3 konna. Na niej podwodziki i chłopiec.

To wszystko powoli rusza naprzód.

Osobno z Panami — 2 bryki saskie z budami. W nich broni fuzji dubeltowych 4 w skrzynce, do nich kartuz wielkich 2, małych 6, ładunkowych 4, pasów do opasywania 4, kłaki, stemple, szrubciher do pistonów, klubka do zaciągania sprężyn, młoteczek, pilnik, nóż wielki, pod dozorem Johana w zamkniętej skrzynce. W drugiej takież pod kluczem i dozorem Dorosza 2 fuzje strzeleckie dubeltowe,

chwil kilka sytuacja się zmienia. Wab już słychać z lewej strony wzniesienia, wzdłuż którego łoś się ku nam posuwa. Szanse moje są wyraźnie gorsze, gdyż zwierz nie będzie potrzebował wysunąć się z gęstego brzeźniaka, na słabo zarośniętą „hradkę", na co głównie liczyłem. Wnioskować jednak można, że iść będzie gąszczem z lewej strony, ale tuż przy skraju, wzdłuż wzgórza, na którem stoję. Widzę na lewo niewielką haliznę, zarosłą oczeretem, przebiegam przez górkę na jej przeciwną stronę. Teraz i ja i wabiarz znajdujemy się po lewej stronie „hradki". Łoś wabi się świetnie i szybko ku nam się posuwa. Słychać już szelest rozsuwanych potężnem cielskiem haszczy, słychać głęboki oddech, który wtóruje każdemu stęknięciu. Zwierz stoi w gąszczu, na lewo wukos przedemną, i łamie potężnemi rogami gęsty brzeźniak, który mi uniemożliwia strzał. Po chwili słyszę, że ruszył z miejsca, lecz z rozpaczą pojmuję, że mija mnie, nie wysunąwszy się z gąszczu, że napróżno z napięciem każdego nerwu obserwuję tę małą haliznę. W jej najodleglejszym zakątku zachwiała się silniej jakaś brzózka, i już wyraźnie słychać wab między mną a wabiarzem. Rzucam wzrok w jego stronę i widzę, że mój Leszkiewicz pełznie ku mnie, przenosząc się na drugą stronę „hradki". Manewr spóźniony. Łoś się już zrównał z wiatrem, który przezemnie wieje. Wab się urywa, słychać chrapnięcie „na trwogę"; przez chwil kilka jeszcze chrzeszczą gałęzie, jeszcze parę chrapnięć, trzasnęła już zdaleka jakaś grubsza gałąź i cisza mszar zaległa. Przegraliśmy.

Następuje chwila rozprzężenia nerwów, kiedy chciałoby się sztucerem walnąć o ziemię, a samemu usiąść na mokrym mchu i płakać! Podchodzi wabiarz z miną zgnębioną i zaczyna od cmoknięcia i kilku „ajajaj", poczem już spokojnie rekapitulujemy sytuację, i widzimy wyraźnie, co należało było zrobić, i gdzie się popełniło błędy. Chodzi tylko o to, żeby się głęboko wryły w pamięć i by zimna krew w podobnej sytuacji na przyszłość pozwoliła z doświadczenia skorzystać. A więc ponieważ wiadomem jest, że łoś zawsze pod wiatr na wab iść będzie, odrazu nie należało prawej strony „hradki" mieć na uwadze. Ponieważ wabiarz, gdy już łosia mieliśmy z lewej strony, nie przeszedł na prawo przedemnie, powinienem był cofnąć się na lewo za niego, lub poprostu samemu zaryzykować wejście w gąszcz i przeciąć łosiowi drogę, zabiegając pod wiatr. Może wtedy wysunąłby się łeb ogromny na kroków kilka, jak to raz już mi się zdarzyło, gdy w gąszczu do byka idącego na wab, na 8 kroków strzelałem! Tymczasem zaledwie kilkanaście sekund dzieliło mnie od chwili, gdy prawie do strzału się składałem (łoś przeszedł odemnie o 45 kroków), a cisza martwa stwierdzała niezbicie, że łoś jakby zapadł się pod ziemię. Zniknął bezpowrotnie, a my zostaliśmy sami na „hradce", by deliberować nad złą taktyką, brakiem szybkiej orjentacji i zimnej krwi, której nigdy w takiej chwili tracić nie należy.

* * *

Gdy noce u ogniska, wśród puszczy poleskiej spędzałem, w Warszawie walczył ze śmiercią, druh mój serdeczny i jeden z największych poleskich myśliwych, ś. p. Jan hr. Morstin. Ciężką niemocą do łoża śmierci przykuty, duszę swą myśliwską na zwiady w głębokie ostępy posyłał i myślą ostatnią zdawał się daleki wab łosia wysłuchiwać! W przeddzień skonu zmartwieniem wielkiem się trapił, że w tym roku głuchego stęknięcia nie usłyszy, i brata prosił, by nie zapominał, że z wiosną już siły mu wrócą, i razem już głuszca śpiewu słuchać

---

2 sztucce pojedyńcze, 4 kartuzki, 6 ładunkowych i 2 torby. Na drugiej brycce, w której siedzieli prócz mnie nieodstępni towarzysze do końca polowania Piotr i Franciszek Ługowscy, Józef Malinowski, Stanisław Truszkowski, Jan Izbicki i Wierciński.

Wóz trzy konny z 2-ma mojemi bracią, z puzderkiem wódki, trocha octu, musztardy, skrzynka z 20-ma fontami prochu, forma na loftki, lotek f. 20, śrótu N 0 tyleż, kaczego N 4 funt. 6, kuropatwiego N. 7 font. 10. N. 9 fontów 15. Dwie walizy z odzieżą myśliwych.

Na trzech powozach gościnnych, rzeczy w tłomokach i służący, ich broń. Było wszystkich moich koni 25, mułów 2, wołów 4, psów 30. Na których dziennie owsa korcy 3, siana $^{3}/_{4}$ fury, osypki $^{1}/_{8}$ korca, słomy fura. Dla ludzi 12 myśliwych i furmanów, mąki żytniej na tydzień; garncy 30, krup 4, mąki pszennej garn. 4, hreczanej 8, pszonu 2, soli kwartę, słoniny funt. 7.

Item na tydzień baraniny tusz $1^{1}/_{2}$, sera garncy $1\frac{1}{2}$, wołowiny ók. 10 masła garncy $1^{1}/_{2}$, oleju kwart 2, wódka i piwo.

U w a g a. Owies na Ukrainie był po złp. 2 korzec, na Polesiu po zł. 3 gr. 10, żyto, hreczka, pszono, sól, słonina o $^{1}/_{4}$ na Polesiu droższe, siano o $^{1}/_{2}$ tańsze, jak w Ukrainie.

Dyspartyment takowy był tylko dla moich psów, koni i ludzi. Przybywający do naszej kompanicy owies i siano, dla swoich kupowali, a ludziom dawali strawne. W wielu znajomych i przyjacielskich domach, gdzie nas zaproszono i konie i ludzie i psy nakarmiono. Prócz tego niezliczoną mieliśmy moc zwierzyny, zajęcy dropi, pardw, kuropatw, kaczek, łysek, słonek, bekasów, chruścieli, które nietylko dla nas i czeladzi wystarczały, lecz większą połowę udzielaliśmy dworom, gdzie pozwolono polować i z otwartem sercem przyjmowano. Skóry z trzydziestu kilku wilków i przeszło 50 lisów mogłyby wartować do 80 rubli. — Pomimo to, koszt tego 10-cio niedzielnego polowania (jakem z bratem obliczył) do 420 rubli wynosił.

Ale mogłem że one lepiej użyć i wypotrzebować, jak w towarzystwie zacney i dobraney kompanicy; gdziem i z dawnemi znajomemi i przyjacióły, wesoło tę jesień przepędził, iż z wielu nowych znajomości skorzystał. Miałżem sam tylko, ze służącemi (jak teraz robię) polować, albo na kąty, rozpusty, wykwintną garderobę, ekipaże, arabskie konie i krymskie charty trwonić i w jeden wieczór to przegrać. Przy pracy, miałem od potrzeb zbywające dochody i te z dobremi ludźmi, z wesołą myślą i radością wydałem.

Ubito wilków — na Ukrainie:

W Borkowcach ubito 15, uszczuto 9; w Bitylówce ubito 6, uszczuto 1 z podjazdu pod Pawołoczą; w Niemierzyńcach ubito 1; w Berezówce ubito 1.

Zimą na Polesiu:

W Andrzejowiczach ubito 6, uszczuto 5; w Rasnej ubito 4, uszczuto 7; w Bobrzycy ubito 3; w Bitce na nóżki dobito 3, doszczuto 2; Kowal w Andrzejowiczach wilczycę od dzieci 1.

I tak w jesieni na Ukrainie ubito i uszczuto 33
Zimą na Polesiu ubito i uszczuto 31

W ogół 64

Z tych skór dostało mi się siedemnaście.

N o t a. Biorąc średnią liczbę szkód przez kilka gniazd wilków zrobione, a przez nas wyrachowane — wypadło — że 1 wilk dorosły od wiosny do zimy, dla utrzymania życia najmniej 22 sztuk zwierząt domowych, prócz dzikich potrzebuje. Ztąd wnosić można, ile te psotniki niszczą w okolicach, gdzie przebywają.

będą, a jesienią z Morysiem na wab! Bo on „tam" teraz wszystko dokładnie zbada! Z nim będzie najpewniej!

Dziś role się zmieniły, Drogi Przyjacielu! Dziś ja cię proszę, byś zbadał te odległe krainy, do których Stwórca Wszechświata Twą jasną duszę powołał, i byś się wstawił, bym na łowy niebiańskie dopuszczony został. Bo jeżeli „tam" zbiera się przezacna myśliwych kompanja, pewien jestem, że prym w niej trzymasz! Nie gnębią Cię już więcej te słabe piersi, które trudów myśliwskich nie zniosły, nie wstrzymują Cię już chłodne noce, rosiste poranki, wody błotnych obszarów, zimno, głód, znoje puszczańskiego życia, które tak ukochałeś, żeś dla nich, Twych towarzyszy wypraw łowieckich porzucił!

O pracy i zasługach przez ś. p. Jana Morstina dla łowiectwa polskiego położonych, obszernie już inni pisali, chciałbym tylko w tych kilku słowach złożyć hołd głęboki Jego szlachetnemu sercu, które tak mocno nasze drogie knieje ukochało, Jego szlachetnej duszy myśliwskiej, która powinna naszym duszyczkom, póki się w ciele kołaczą, świecić jasnym przykładem.

Zostanie po Nim w kniei wspomnienie, i nieraz przy ognisku, przy którem tak dobrze i zacisznie Mu było, zaszepcą „Wiecznaja pamiat" usta myśliwca-poleszuka, lecz gdy wygasną i te ogniska, przy których my, co Go pamiętamy, noce w mszarach Polesia spędzać zwykliśmy, zaszepcą mu te słowa usta inne, usta młode, bo pamięć o „Wielkim Myśliwym" — a On nim był naprawdę — nigdy nie zaginie, bo puszcza, wśród której duch jego zapewne się błąka, wiecznie legendę łowiecką nocami nad ogniskiem szemrać będzie.

MAURYCY POTOCKI.



„Cato II z nad Gopla".
Ojciec jego otrzymał w Lipsku I nagrodę na wystawie i I nagrodę na popisach wyżłów dowcdnych.

SZCZĘŚLIWY RANEK.

Noc już zapadła, gdy usłyszałem na ganku kroki. Po chwili skrzypnęły drzwi i do dusznej izby, wraz z prądem świeżego powietrza, niosącego zapach wiosennej puszczy, wszedł gajowy. Szara jego postać niewyraźnie majaczyła w mroku izby.

— Są głuszce? — spytałem po rosyjsku (działo się to w głębi Rosji).

— Są, dwa, albo nawet trzy — odrzekł z tryumfem w głosie.

— O pierwszej ruszamy.

— Dobrze.

Znów skrzypnęły drzwi i szara postać zginęła z jaśniejszego tła ściany.

Zamknąłem oczy, starając się zasnąć. Rozum wskazywał mi potrzebę odpoczynku przed polowaniem, ale okazał się bezsilnym wobec nerwów podnieconych bliskością nieprzebytych borów, w których jutro miałem ujrzeć tajemniczego ptaka - głuszca. Po chwili zmagania się z podnieceniem, uznałem porażkę umysłu, puszczając wodze myślom. Otworzyłem oczy. Z za czarnej, zębatej ściany lasu, wypłynął księżyc, ciekawie zaglądając do okna chałupy. Od tarczy jego lał się nieprzerwany potok białego światła, tworząc na mej głowie i poduszce jasną plamę. Chciało mi się wtedy ulecieć tym świetlanym szlakiem do krainy nieznanej, krainy wiecznego szczęścia, krainy jasnej, jak księżycowa tarcza. Chciało się coś kochać, za czemś tęsknić. W głębi duszy zrodził się wówczas smutek, który nic nie czyni bólu, nie rani duszy ni serca, a goi zadane bezlitosnem życiem ciosy.

* * *

Lekkie dotknięcie ręki leśnika wyrwało mnie z nirwany marzeń. Do wyprawy było wszystko przygotowane z wieczora, więc wypiwszy po kieliszku wódki, wyszliśmy z dusznej izby. Noc była ciemna. Zwały chmur przysłoniły księżyc i gwiazdy. Niesamowite kształty najbliższych drzew cisnęły się tłumem tajemniczych duchów ku jaśniejszej drodze.

Puszcza wchłonęła nas, topiąc w swym ogromie dusze nasze, czyniąc z nich cząstkę swej potęgi piek-

na. Ciało moje, zmęczone kurzem miasta, ssało z otaczającej przyrody zdrowotne pierwiastki, piło nektar życia i siły.

* * *

Po półgodzinnej wędrówce, doszliśmy do brzegu bagna. Kałuże wody tworzyły jaśniejsze nieco plamy na tle szarej, rozmokłej ziemi. Karłowate sosenki, rosnące na kępach, dopuszczały więcej światła, niż wybujały las na suchych terenach. Przez błoto iść było sto razy gorzej. Odrazu wpadłem powyżej kolan. Chłodna, zmieszana ze śniegiem, wiosenna wodą ścisnęła moje obute w łapcie nogi kleszczami zimna.

Nie przestraszyłem się jednak tego bardzo. Nie było to moje pierwsze polowanie na toku, a innego obuwia, prócz łapci, nie używałem na polowaniu prawie nigdy. Szedłem więc dalej, zapadając co chwila. Szara postać leśnika ginęła mi ciągle z oczu między pniami rachitycznych sosenek. Starałem się nadążyć za nim i naśladować jego zwinne ruchy wychowanka bagien i puszcz.

Iść trzeba było coraz ostrożniej, nie można było bezkarnie łamać gałęzi, lub chlupotać wodą. Królewski ptak, tajemniczy głosiciel wiosennych godów miłości, piękny głuszec, był już gdzieś niedaleko.

* * *

Po godzinie ciężkiej drogi przez bagno, stanęliśmy na miejscu podsłuchów. Puszcza stała jeszcze ciemna ,tylko w górze, gdzieś w nieskończoności poczęły się budzić świetlane prądy, niosące zapowiedź dnia. Stałem oparty o pień drzewa, z natężonym słuchem i wzrokiem, utkwionym w niewyraźne kontury sosen, na których zapadł jeden z głuszców. Cisza była zupełna. Uśpiona puszcza, o tej godzinie przedrannej stoi niema. Czeka cudu ukazania się słońca, które powoła ją do życia, które da jej moc do walki o byt.

* * *

Świt stawał się realniejszy. Powietrze poczęło nasiąkać bladem światłem. Chmury na wschodzie przybierały mleczny kolor. Ciemne wierzchołki potężnych sosen, coraz wyraźniej odcinały się na tle jaśniejącego nieba.

Nagle doleciała mnie pieśń głuszcowa. Pieśń zrazu nieśmiała, urywana, potężniała coraz bardziej, aż polała się potokiem przez senną puszczę, napełniając kościanym dźwiękiem las, mgły, świat cały. Wtargnęła do mej duszy, budząc w niej uczucie zachwytu, tak wielkie, żem zapomniał o łowach, o własnem istnieniu, o dalekim świecie „miast". Stałem nieruchomo, łowiąc uchem dźwięki pieśni. Dźwięki piękne, zharmonizowane z dzikiem tłem puszczy, niosące światu wieść o wiośnie.

Wyrwał mnie z tego osłupienia szept leśnika.

— Pojot. —

— Namiętność, żądza łowiecka, przytłumiona zachwytem, obudziła się pod wpływem tego słowa. Porwała mnie w swe ramiona i poniosła na skrzydłach przez grząski moczar ku drzewu pieśniarza, wieszcza wiosny.

* * *

Skakałem przez bagno w takt pieśni głuszcowej. Nogi zapadały co chwilę w grząską, czarną maź błotną. Przez cienką skórę znoszonych łapci, wyczuwałem pod stopami najmniejszą gałązkę, najpłytszą kałużę wody. Dawało mi to możność uniknięcia łamania gałęzi i zbytniego chlupotania wody. Wyszedłem wreszcie na suchy brzeg wyspy błotnej. Przedemną rósł zagajnik sosnowy, wśród którego stało kilkanaście starych, olbrzymich sosen. Zagajnik przecinał dukt leśny. Na jednej z sosen, stojących na prawo od duktu, — tokował głuszec. Ponieważ zagajnik był gęsty i skacząc przez niego, nie można było uniknąć trzasku gałęzi, postanowiłem podchodzić duktem. Ściana zwartego zagajnika musiała mię zasłonić przed oczyma ptaka.

Z bijącem sercem , niebaczny na zimno, skakałem zapatrzony w czarną masę czubów sosnowych, między którymi tu i owdzie przeświecało jaśniejące na wschodzie niebo. W jednej z takich luk ujrzeć pragnąłem jaknajprędzej roztoczony wachlarz lub sylwetkę tokującego ptaka.

A tymczasem nie widziałem nic. Stałem odległy o jakieś pięćdziesiąt kroków od śpiewaka. Bałem się podskoczyć bliżej, aby go nie spłoszyć, a jednocześnie denerwowało mnie to, że go nie widzę. Już w paru miejscach zauważyłem plamy, które w mroku wstającego poranku podobne były do kształtu głuszca. Podniecenie podrywało ręce do strzału, ale drobny ułamek pozostałej woli trzymał na wodzy mięśnie. I nie wiadomo, co zwyciężyłoby, gdybym nie usłyszał nagle głośnego łopotu skrzydeł ptaka. Serce mi zamarło. Myśli, jak błyskawica przelatywały przez zgorączkowany i podniecony mózg.

Nie mogłem go spłoszyć... Stałem przecież nieruchomo... Może gdzieś niedaleko usiądzie.. Może on tylko zmienił miejsce. Nie... Nie... to niemożliwe..., tyle trudu napróżno — myślałem z rozpaczą.

Nagle uświadomiłem sobie, że słyszę znów pieśń głuszca i to znów z tego samego miejsca. Tak byłem uszczęśliwiony, iż poprostu nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Głuszec śpiewał. Zwrotka goniła zwrotkę, w równych odstępach rozlegało się kłapanie.

— Czyżby ten łopot, to była imaginacja? — pomyślałem, — nie, to niemożliwe przecież..

Myśl moja nie została skończona, bo oto nagle usłyszałem obok pieśni pierwszego głuszca, pieśń równie bliską drugiego.

Teraz nie wiedziałem do reszty, co robić! Ani moja skromna praktyka łowiecka (polowałem dwa razy na toku ,ale bez rezultatu), ani wiadomości teoretyczne nie dawały mi wskazówek w takim wypadku. Stałem nieruchomo, biernie oczekując biegu wypadków, zasłuchany w podwójną pieśń głuszców, przytłoczony nadmiarem nowych wrażeń.

A głuszce śpiewały. Jak dwie kaskady, lały się ich pieśni przez poranną puszczę. Jak jakieś mistyczne dźwięki, płynące nie wiedzieć skąd, spadał na ziemię ich kościany klekot, budząc wizję starych, pogańskich, pełnych zabobonów i czarów, czasów. Zdało się człowiekowi, że żyć przestał, że nie czuje i nie cierpi, że stał się cząstką olbrzymiej potęgi, która złączyła w sobie wszystkie istnienia w jeden łańcuch, złączyła rzeczy dobre i złe, piękne i brzydkie w jedno wielkie kolisko.

* * *

Ranek stawał się coraz bielszy. Niebo na wschodzie różowiło się nieznacznie. Drzewa traciły widmowe kształty, występując wyraźnie z ginącego mroku. Gdybym nie był oczarowany pieśnią głuszców, usłyszałbym melodyjną, tęskną pieśń cietrzewia, usłyszałbym namiętny wab kaczy, ujrzałbym dziesiątki małych ptaszków, które z wesołym świergotem wyszukiwały porannego pożywienia. Ale ja byłem głuchy na wszelkie inne dźwięki: głuszce pochłonęły mnie całego. Nagle usłyszałem głośny łopot: oba ptaki zleciały na dukt i rozpoczęły walkę na ziemi, jak cietrzewie. Gdzieś na drzewie zakwokała głuszyca. Mistyczny czar puszczy prysł. Żądza łupu, namiętność prastara, zatamowała mi oddech, przytłumiła wszelkie uczucia. Buchnęły dwa szybkie strzały. Drgnął las i zamarł. A ja z dziką pierwotną radością w duszy, podniosłem dwa martwe głuszce.

* * *

Działo się to w kwietniu 1916 roku w środkowej gubernji Rosji.

W. PIOTROWSKI.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka Warszawa, Warecka 15.